Rozmaitości

DNIA 5. GRUDNIA Ner 49. 1835 ROKU.

URSYNA, RÓŻA SALERNU.

POWIEŚĆ.

(Dokończenie.)

III.

Tajnie mej duszy sam w milczeniu badaj;
Jeźli masz litość nade mną — nie gadaj!

Adam Mickiewicz
(w przekładzie Giaura, lorda Byrona).

Najgwałtowniéjszych, sprzecznych sobie uczuć wezbraniem miotany właśnie był Lede; zawarł powieki do snu niespokojnego, gdy uczuł silne wstrząśnienie. Młodzian w odzieży majtka, od bladego blasku lampy oświetlony, stał przed nim: »Panie!« odezwał się w narzeczu gminu, »barka już przysposobiona. Ciebie tylko czekamy. Chciéj się pan spieszyć!«

»Ktoś ty?« zapytał Lede ze snu ocekniony.

»Toć majtek, panie; wszak widzisz, nie kto inny,« odrzekł młodzian, pokłoniwszy się nizko, i jął ubiérać kwapiącego się markiza.

»Chłopcze, cóż ci jest? wszak ty drzysz,« rzekł Lede.

»Boć tam zimno na dworze,« odpowiedział młodzian, i znowu naglił do pospiechu.

Nie długo trwało, wyszli obadwaj z zamku, spiesząc ku portowi. Raz jeszcze zwrócił Maurycy wzrok zasmucony na gmach spaniały, który, ni zamek jaki, szczytami swémi wszystkie kamienice dumnie przenosił, i pierwszym rannego brzasku olśniony promieniem, czarownym zdawał się jaśnieć kolorem. »Kwitniéj, o kwitniéj długo jeszcze nadobna różo Salernu!« tak żegnał z żalem luby przedmiot uczuć swoich zacny Francuz. »O czemuż mi nie wolno było upoić się rozkoszną wonią twego kwiatu. Jabym cię był umiał uwielbiać; zimny Ghiberti nie zdoła tego; ja, zachwycony twémi urokami, byłbym się przy tobie stał bogiem — on, zostanie tém przy tobie, czém był i bez ciebie. Żegnaj mi, żegnaj na wieki. Różę porzucam, lecz kolce w sercu unoszę z sobą!« Przejęty żalem pobiegł pędem naprzód, jak gdyby chciał ujść ścigającéj go tęsknocie.

»Wiatr pomyślny;« rzekł majtek wstępując z nim w barkę, która natychmiast odbiła od brzegu. Długo stał jeszcze Lede z twarzą ku Salernu zwróconą, i smutne oko utopił w błyskających oknach drogiego mu zamku. Dzień pogodny coraz bardziéj wyciérał się ze zmroku; już ponure cienie nocy pierzchały do swoich legowisk, już poblizkich gór szczyty poczynały jaśnieć uroczym wdziękiem promiennego słońca; a chyża, wiosłami uskrzydlona barka, chustając się po grzbietach pozłocistéj fali, gnała lotem ptaka. Milczący, dumaniem zasępiony stał Lede ciągle przy rudlu barki, bodąc tęsknem wzrokiem miasto, które coraz mniéj wyraziste, coraz gęściej omylone, w końcu w szarawą zdrobniało mu wstęgę. Wkrótce i upał zaczął dojmować wioślarzom, a ich niezmordowana usilność i jawne staranie się, jak najsporszym pędem ulotnić bieg łodzi, wpadły w oczy markizowi, tém więcéj, że to natężenie przy pomyślnym ciągle wietrze, zdało się mu być niepotrzebném. Najbardziéj zwrócił uwagę jego na siebie młody majtek, który jedną ręką twarz zeznojoną ocierał, a drugą, już wysiloną prawie, nieustannie wiosłem robił, i innych do pracy zachęcał. Gdy wreszcie i skwarne południe odwołać ich do wypoczynku nie zdołało, zagadnął ich Francuz, i zapytał zdziwiony, czemuby, gdy żadnego nié ma niebezpieczeństwa pokarmem swobodnie zasilić się nie chcieli? — »Tak nam kazano,« odrzekło kilku ozięble, i silniéj i raźniéj znów pruły wiosła spienione fale. Sam znużony dokuczliwą spieką położył się Lede w cieniu zawieszonego żagla, i usnął na chwilę, marząc

o kochanéj salerneńskiéj róży. Nagle przebudza go krzyk przeraźliwy, i mając jeszcze snem obciążone powieki, słyszy z zadziwieniem głos przestrachu: »Przez Boga, spieszcie i ratujcie nas i siebie! a podwojona zapłata nagrodzi wam sowicie trudy kilku godzin!« Zrywa się Lede i nie pojmując trwożliwego pospiechu i natężenia wioślarzy, pyta, cobyto znaczyło, i zkąd ten pospiech podejrzany: »Wszakże jeszcze za czasu staniemy w Palermie« Miasto odpowiedzi wskazał jeden z wioślarzy ręką na północ ku Salernu, a markiz ujrzał w kilkumilowéj oddali okręt, który śladem ich barki pospieszał za nimi.

»I czemuż was tak przeraża widok tego okrętu? Przebóg! mówcież, ja chcę prawdę wiedzieć.« — »Jestto najleksza i najszybsza galeota, jaką mi w życiu widzieć się zdarzyło,« odrzekł zapytany wioślarz, »a nikt inny nie może i nie śmie w niéj płynąć, prócz Jego Eccelency, pana namiestnika.« — »I czegożby on chciał od nas?... a gdyby nawet on to był istotnie, nie widzę powodu obawy?« — »Kłamiesz!« krzyknął młody majtek na wioślarza przenikliwym dojmującym głosem: »to wicekról nas ściga!« — »Wicekról?« zapytał Lede, »zkądżeby wicekról...« — »Zdradzonyś panie, zdradzony! sam imaj żwawo wiosło, abyśmy uszli przed tą galeotą!« zawołał majtek. »Zdradzonyś!« krzyknął, i krzepiąc wątłe już siły, chwycił oburącz za wiosło, i przejęty rozpaczą, robił niém na pozór silnie, ale bezskutecznie. Jednakże tak długo już przetężone siły nie chciały woli odpowiadać; niemocą zdrętwiałe dłonie opuszczają wiosło; próżno je majtek na nowo ujmuje: zemdlony pada bez zmysłów. »Przebóg! cóżto wszystko znaczy?« zawołał Lede przerażony. »Ha! przeczucie okropne...« i zerwał czapkę majtkowi, a wraz spłynęły rzęsiste kruczych włosów pierścienie, a pod rozpiętym kaftanem ujrzał zdumiony śnieżną, drżącą pierś niewieścią, i stanął jak wryty: »Przez Boga! wody! wody!« krzyczał na ludzi, sam jak trup zabladły; a zrosiwszy twarz mniemanego majtka, postrzegł, że była ciemną barwą zabrudzona, którą, naśladując trafnie ogorzałe słońcem twarze innych majtków, zasłoniła mu wdzięki swoje nadobna Ursyna!

Dobra chwila przeszła nim się troskliwym zabiegom przerażonego Francuza przywołać Ursynę do życia udało; nareszcie otworzyła wielkie, ciemne oczy, i przenikliwém spojrzeniem utopiła je w kochanku. Ach! to spojrzenie — ugodziło głęboko w serce kochającego młodziana, lecz niestety... błożąc je najrozkoszniéjszém, najsłodszém uczuciem, rozbudzało w niém zarazem burzę najgromniéjszą. Szybką myślą przejrzał on całą okropność swego położenia. Piękna, jak anioł, małżonka spaniałomyślnego wroga, dobroczyńcy, była jako zbieg na jego okręcie. Miałże uwieźć żonę tego, z którym wczoraj dopiéro święte przyjaźni zawiązał przymierze? żonę męża, który, poznawszy w nim dawnego nieprzyjaciela, niepomny wkorzenionéj nienawiści, do ucieczki mu dopomógł? Znowu zaś, że ją ukochał: któż go potępi? Czyliż jego wina, że Ursyna młoda — i on młody, że czuli oboje; że Ghiberti stary i zimny, w namiętném sercu młodéj niewiasty drzémiące rozkoszy pragnienie obudził; a rozdraźnione zapały lodowém teraz tuli objęciem? Cóż dziw, że natura, nie mając żadnego w rodzicielskich frymarkach udziału, świętém uczuciem dwie hoże istoty spoiła! — Sparty na prawie uczucia, nie przeto zapomniał zacny młodzieniec praw małżonka i ustaw gościnności; skoro bowiem postrzegł, że się tajnym popędem serc dwoje wzajem zrozumiało, idąc za głosem rozwagi, opuścił dom, w którym sercu jego tak błogie zajaśniało zorze. I miałże teraz uledź sidłom, przed któremi właśnie szczęśliwie uchodził? Jako? i terazby opuściła go ta męzkość umysłu, ta dzielna moc charakteru, których przemocą wrzące pokonał uczucie? miałżeby teraz, gardząc tym tryumfem, wywołać znowu utłumione żary, i w usidleniu rozkoszy uchodzić z porwaną przyjaciela żoną? Któż zajrzy szczęścia lub rozkoszy temu, co mając w sercu płomienie namiętnéj miłości, stanie z zimnym rozumem do walki? Czy jak zwycięzca uściśnie kochankę, czy zwyciężony przewagą rozumu, chełpiąc się z męztwa swego, porzuci wierną oszukaną; zawsze, ach zawsze wikła się w opłakane losy mściwe widmo zwalczonego! Pożegnaj swobodę pożycia, kto z przeznaczenia ujść takiéj walki nie możesz! Miałże Maurycy wykląć się najgorętszych uczuć młodości, i kłamiąc zimną obojętność, odepchnąć od serca kobiétę, która go z najżyw-

szém kocha uniesieniem? kobiétę, któréj niewinne serce on sam mimowolnie obudził z uspienia, którą sam kochać nauczył? Czyliż mógł ją winić o zbrodnię, że w najpiękniéjszém zaraniu życia, wiotka szesnastéj wiosny latorośl, w najświętszém swojém prawie, wziętém z natury do szczęścia całego życia swojego, zdradnie oszukana, w sercu własnego wyboru szuka oddźwięku rozbudzonych uczuć, i w upojeniu lubéj wzajemności, przemocą goni za wydartém niebem? Miałże najczystsze jéj przywiązanie, najszczérsze poświęcenie się wiernéj, ukochanéj, wywzajemnić pogardą lub zdradą; miałże niewinną dumy rodziców ofiarę, która mu swe losy powierza, wydać na złość i zemstę małżonka, a uniewinniając siebie, powiedzieć ścigającemu: »Tu masz niewierną twoję małżonkę! jam jéj nie uwiódł; bez mojéj wiedzy porzuciła ciebie?« Biédny młodzieniec! jakikolwiekbądź pomysł chwycił w przedsięwzięcie, cokolwiekbądź śród przykréj walki uczucia z rozsądkiem stanowił lub ganił, zawsze narażał sławę na zakałę, zawsze zostawał potworą: tam dla skrzywdzonéj przyjaźni, tu dla zdradzonéj miłości.

Tymczasem przyszła do siebie Ursyna, a spojrzawszy bystrym wzrokiem na dumającego kochanka, i wniknąwszy w zamęt jego myśli, rzekła głosem uciśnionym: »Czytam w twéj duszy Maurycy: Ty mną pogardzasz. Zbyt dumna, bym żebrała miłości od ciebie, lub łaski od mego małżonka, szczęśliwą się czuję, że jestem na morzu.....« Przerwała, i nim kto z obecnych przeszkodzić zdążył, rzuciła się w obłędzie zmysłów w zapienione nurty. — Nie dłużéj dumać młodzieńcowi;— nie tak szybko zaświeci w oko połysk piorunu, jak na widok tonącéj kochanki zabłysnął mu śród zwaśnionych myśli zwycięzki promień miłości, i wnet dwa ciała pływały po morzu, sprzężone kołem ramienia, dążyły oba do barki; długo z falami w oporze... długo z zagubą w szamocie... uchwycił nareszcie młodzieniec wyrzucony powróz, i za pomocą wioślarzy dźwignął się na barkę, unosząc w silném ramieniu na pół martwą niewiastę! Czém prędzéj złożył ją na posłaniu, i suchą odzieżą otulił, a uklęknąwszy przed omdlałą, że łzami wzywał ją do życia drogiém imieniem! Na próżno! Wszelkie sposoby bez skutku, daremnie dłonią szuka tętna serca... zda się — zastygło wraz z życiem. Po chwili — co za rozkosz! serce bić zaczęło, piersi jęły wzdychać! Uradowany Maurycy podwaja starania, i wkrótce lube oczy wdzięczném mu odpłaciły spojrzeniem!

Ze łzami najżywszéj radości rzucił się lubéj w objęcie: »Ursyno! Ursyno! jakżeś mnie mogła zapoznać. Mnie, co nad życie, nad świat i niebo — ciebie ukochałem.«

»Dzięki ci! drogi, ukochany,« odrzekła Ursyna słabym jeszcze głosem, a moc uczucia ubarwiła lekkim rumieńcem blade usta i lice: »Dzięki ci, żeś mi jeszcze umrzéć nie pozwolił; teraz, po téj błogiéj chwili... w twojém obramieniu śród lubéj pieszczoty, radabym umarła!«

»Ach, kochana Ursyno! ty jeszcze nie znasz słodyczy życia! Odtąd dopiéro używać będziesz téj świętéj rozkoszy, która jedynie młodości udziałem! Jutro, droga Ursyno! jutro już uścisnę cię jako małżonkę!«

»Oby Bóg sprzyjał życzeniom naszym! Błogie lata w twojém objęciu marzę, już teraz szczęśliwa!« — Dopiéroto teraz wziął w pamięć Lede groźną galeotę, a spojrzawszy na północ, postrzegł z przestrachem, że znacznie się ku nim zbliżyła. Smutne zdarzenia, które wstrzymały pospiech barki, sprzyjały bardzo galeocie, któréj żagle pomyślnym wzdęte wiatrem, pędziły ją raźnie; a rubaszni u wioseł galernicy popęd skutecznie wspiérali. W domiar nieszczęścia, po rannym upale zerwała się pod wieczór i burza, któréj natarczywości sprostać nie mogły zwątlone już siły wioślarzy.

Widząc nieochybną zgubę zawołał Maurycy z wyrazem rozpaczy: »Bracia! idzie tu o życie moje i wasze! Jeźli ujdziemy onéj galeocie, i szczęśliwie w Palermie staniemy; sowitą każdy z was otrzyma nagrodę; macie bowiem wiedzieć, że wieziecie potężnego wodza hiszpańskiéj floty w Sycylii. Patrzcie, tam, jak ten far*) okazały, tam flota moja, a każdego z was przy niéj w oficéra godności umieszczę.« Wioślarze spojrzeli po sobie z trwogą i zdumieniem, a zachęceni tak świetnéj przyszłości widokiem, czynili, co im sił starczyło. I Lede sam uchwycił wiosło, sam za trzech pracował... daremnie. Burza zagnała

*) Wieża oświecona w nocy, dla wygody i bezpieczeństwa płynących okrętów. Strażnica.

lekką barkę w bok do zachodu ku neapolitańskiéj granicy. Śród wycia gromów i szumu zwichrzonego morza zapadła noc okropna, a w złowrogiéj ciemności zagasł biédnym na barce ostatni promień nadziei, i tylko w piorunów połysku jawił się okręt namiestnika, tém groźniéjszy, im bliżéj podsuwał się ku nim.

Pojmował Lede całą okropność blizkiéj już przyszłości; widział, że siły wioślarzy ustały zupełnie, a ich tajemne poszepty i zdradne na niego spojrzenia, nie zostawiły żadnéj wątpliwości o ich nikczemnych zamysłach. Wiara wszakże miłości piastunką: miłość prześladowana z ślepą ufnością rzuca się w wiary objęcie; o cudach marzy, od cudów zbawienia czeka!

Maurycy z Ursyną siedząc w głębokiém milczeniu, patrzyli, jak w tęczę, w zbliżającą się galeotę. Wioślarze znużeni, także spoczywali, bałwanom i wichrom stér łodzi oddawszy. Już z galeóty dochodził biédnych zawiły gwar radującéj się okrętowéj czeladzi, już bliżéj, bliżéj... okrzyki radości — tryumfu... Słyszyto markiz Lede i zasępia czoło, a nieszczęśliwa Ursyna tuli się z trwogą do niego, drząca, wybladła, jak widmo rozpaczy!

»Luba!« zawoła Lede po chwili ponurego namysłu. »Czy pomniész ów wieczór na skale? Wychylić czarę, i.....

»Umrzéć—« dodała Ursyna, zgadując myśl kochanka. »Pomnę, o! pomnę, mój drogi... Przy tobie i z tobą — w téj nawet okropnéj myśli jest jakiś powab uroczy!«

»Jedyny środek, którym ujdziem zemście Ghibertego,« rzekł Maurycy, wskazując drżącą ręką na morze, a drugą przyciskając z dzikim żalem kochankę do łona.

»W Imię Boga! niech się spełni przeznaczenie nasze!« zawołała Ursyna z żalem, a może i przewiny uczuciem nieprzytomna sobie, i żywo ujęła za szyję lubego; tak spojeni biegli oboje ku krawędzi barki, by wskoczyć w zaburzoną otchłań. W téj jednak chwili zchwyceni i obaleni, a nim Lede obronić się zdołał, linami związani zostali. Sprawcami tego byli wioślarze, którzy zasłyszawszy ostatnią kochanków rozmowę, wraz się przez migi porozumieli. »Hola ptaszku, zdasz się nam!« zawołał jeden. »Nie darmoś nam powiedział, kto jesteś!« rzekł drugi. »Czegoście oboje nabroili, my za to odpowiadać nie chcemy;« natrącił trzeci.

Dzika rozpacz miotała markizem, słysząc żałośne, aczkolwiek ciche jęki Ursyny, z wściekłością targał zdradne więzy swoje. Wioślarze nawiedli teraz sami barkę ku galeocie, z któréj ją też wkrótce ujęto hakami, a wraz dał się słyszéć głos Ghibertego: »Podły rabusiu, zdrajco! nie ujdziesz sprawiedliwéj zemście!... Hej żołniérze! wioślarze! macie połów! Jestto don Maurycy Lede... wódz hiszpańskiéj floty, która nasz kraj dla Hiszpanii zawojować chciała. Na głowę jego nałożył wicekról cenę tysiąca piastrów. Macie go — piastry wasze!« Imię wodza hiszpańskiéj floty zagrzmiało w powszechnym krzyku radości i podziwu żołdactwa; w mgnieniu oka poskoczyli ku skrępowanemu, i wywlekli go na pokład galeoty. Ursynę rozwiązaną zaprowadzili do Ghibertego.

Z surowém milczeniem ujął ją za rękę i zaprowadziwszy do kajuty, prosił, by wypoczęła na sofie. Zupełne umysłowych i cielesnych sił rozprzężenie wnet ją w głęboki sen pogrążyło; a siedzący opodal w złowieszcze dumanie wspiony Ilario, gniewném okiem poglądał na wybladłe śpiącéj oblicze. Niebogal nie mogła i we śnie ukryć tkliwéj boleści wyrazu; a ślady trwogi i znękania całą jéj postać czyniły tak ujmującą, tak powabną, że widok jéj dziki nawet gniéw Ghibertego w użalenie rozbrajał. Tém zaciętszą, tém sroższą wszakże zapalił się nienawiścią przeciwko dawnemu swojemu wrogowi, który — inaczéj bowiem nie mógł myśléć — najpodlejsze zamiary w złudną przyjaźni przybrawszy maskę, targnął się na domowe szczęście gościnnego przyjaciela. Miał on zacnego Ledego za podłego lubieżnika, a owe, niby to niechętne przyjęcie ofiarowanego mu w domu swoim przytułku, równie jak nagły zeszłego wieczora pospiech, za dawny, chytrze i rozględnie uknowany pomysł usidlenia i uwiezienia Ursyny. Czém dłużéj nad tém dumał Włoch podejrzliwy, tym występniéjszym wydawał mu się Lede; a nawet ów przymus, jaki przy pożegnaniu sercu swemu czynił Maurycy, owe czułe roztargnienie, oczywisty skutek wewnętrznéj walki z namiętném uczuciem, te nawet tak piękne zacności jego dowody, liczyła mu podejrzliwość Włocha w potępienie, mieniąc je wyrazem troski o pomyślność podjętego układu, i skutkiem

wyrzutów sumienia. Cóż dziwnego? że Ilario w tak grubym zostając błędzie, najokrutniéjszą męczarnię, najzdrozniéjsze katusze, na jakie się tylko zdobyć kiedy mogła zaciekłość tyranów, chciwą przebiegał myślą, a przecie tak srogiéj nie znalazł, jakąby rad krzywdę swoję pomścić na Maurycym. Szalona burza w dziki wtór grała myślom namiestnika, i w ponury nawet więzionego umysł trafiała odpowiednim dzwiękiem. Wiedział Maurycy jaki los go czeka; nie biédził on się próżném rozmyślaniem, czyby Ghiberti wyznaniu jego dał wiarę; nie chwytał dowodnych sposobów uniewinnienia siebie oczernieniem i oskarżeniem tyle mu drogiéj kobiéty; przybrawszy się w dumę i wytrwałość, w milczeniu oczekiwał niesłusznego na siebie wyroku.

Jeszcze z wieży zamkowéj nie wybiła północ, gdy galeota do salerneńskiego zawinęła portu. Natychmiast zaprowadzono markiza do ciemnicy pod pałacem namiestnika, a że go zaraz w publiczném nie osadzono więzieniu, wnosił ztąd Maurycy, że się Ghiberti nim przysłuży wicekrólowi, i nazajutrz odeśle go do Neapolu. Gdy się ocknęła ze snu Ursyna już Maurycy był w więzieniu, już i goniec pędził mu po śmierć do stolicy.

»Donno,« rzekł do niéj łagodnie Ghiberti, »pójdźmy do domu, w którym znowu będziesz panią. Niewinnéj, zwiedzionéj przebaczam; lecz biada podłemu, co mi chciał wykraść mój skarb, moję różę!«

»Ha! gdzie on? gdzie Maurycy?« zawołała Ursyna, gdy rozbudzona, nienawistną postać męża przed sobą ujrzała.

»Nie pytaj o niego!« prosił ją Ghiberti. »Ach, ja widzę, że mi ten zdrajca wykradł serce twoje.«

»Gdzie on jest? markizie! gdzieś go podział; on niewinny — niewinny, jak ja byłam niewinną, nimem go poznała!«

»Nie pytaj o niego!« rzekł z gniewem Ghiberti i zamilkł, wiodąc żonę ku domowi.

»Na Boga zaklinam cię panie! gdzie jest zacny, niewinny Lede! Ach, on mnie nie uwiódł, nie wykradł! Na Boga, mężu, jam winna, ja sama! gdzieś ukrył Ledego?«

Szyderczo zaśmiał się Ghiberti: »Chcesz wiedziéć koniecznie?... w klatce osadziłem ptaszka. Tyle świątu widział. Tak, tak, moja wierna żono! W najgłębszéj ciemnicy mojego zamku duma teraz twój kochanek, a goniec pędzi do stolicy; jutro o téj porze spodziéwam się przywiezie mu lekarstwo na ostudzenie miłośnych zapałów.«

Wiatr uniósł westchnienie Ursyny. Nie rzekła ani słowa, ciche łzy tylko mówiły o jéj cierpieniach.

* * *

Ciężko się wlekła noc Maurycemu; wiekiem pełzał po niéj dzień. Co pół godziny skrzypiały rdzawe zapory, a we drzwiach więzienia okazywała się zgrzybiała postać podejrzliwego dozorcy, co śledził więźnia wprawionémspojrzeniem. Tak śród niemiłych odwiédzin przedumał dzień cały i część wtoréj nocy. Nagle zasłyszał jakieś stąpanie, a gdy się coraz więcéj ku niemu zbliżało: »Kto tam!« zawołał silnym, śmiałym głosem, bo myśl, że go na śmierć brać przyszli, obudziła w nim rodzaj dzikiego zadowolenia!

»Cicho, cicho!« szepnął głos kobiécy. »Witam cię, drogi ukochany!«

Zdumiały Lede poznał i głos i postać Ursyny, i ledwie: »Tyżeśto luba?« wyrzekł, w słodkiém się wzajem trzymali objęciu.

»Drogi Maurycy! mnie mąż przebaczył, lecz na czułe moje za tobą prośby głuchy; w mściwém sercu odżyła jego dawna ku tobie nienawiść! On ci okrutną zgubę gotuje; ach i ty miałbyś paść mojéj przewiny ofiarą!... Przenigdy!... Uchodź!... wszystko ułatwione. Łzy, żal, rozpacz moja wzruszyły tkliwe serce córki twojego dozorcy. Śpiącemu ojcu wykradła klucze więzienia, a sama czeka cię na korytarzu. Ona cię wyprowadzi bezpiecznie. Północ wybiła; a co chwila czekają gońca z Neapolu, niezawodnie z wyrokiem śmierci dla ciebie. O! uciekaj; póki czas — uciekaj! Jeźli kobiéty miłość nie zwycięży twojéj dumy, do ucieczki cię nie skłoni — o, to pomniéj na twe obowiązki; usłuchaj głosu wzywającego cię i przychylnego twéj sprawie narodu! jego widokom, jego szczęściu potrzebne twę życie!« Tak nalegała ze łzami Ursyna, gdy Maurycy przejrzawszy cel jéj przybycia, w ponurém milczeniu z myślami się ważył. Bądź, że w samotnéj rozwadze uznawał się winnym, a ucieczkę miał za niegodny środek ocalenia siebie; bądź też, że zbiegiem przykrych stosunków i sprzecznych uczuć nawałem stłumiony, niejako w odrętwieniu zostawał, wahał się widocznie

usłuchać rady Ursyny; a gdy ona coraz czuléj błagała; ujął jéj dłoń, i długo stojąc w milczeniu, z czołem zachmurzoném i w ziemię wrytémi oczyma, dumał coś ważnego. Po chwili, ockniony z dumania, wesołe oko podniósł na kochankę i, jakby wstrzymywany jakąś przemożną potęgą myśli, przemocą wypiérał ustami: »Dobrze masz,« rzecze, »kochana kobiéto, ja mam obowiązki; wcześniebym zginął; nie w ciemnicy mi umiérać, gdy mogę na polu sławy! Wskaż drogę, którą ujść mogę bezpiecznie, a gdy się szczęśliwie do wojska dostanę, ujrzysz mię niebawem na jego czele pod murami Neapolu. Obywatele złożą hołd poddaństwa, a Ursyna w wawrzynowy zwycięzcy wieniec wplecie mirtową gałązkę! Nie prawdaż Ursyno?« Milczenie odebrał w odpowiedź. Ursyna podając mu tylko pierścień namiestnika: »Straż bramy,« rzecze, »puści cię za okazaniem tego znaku; niech cię Bóg wiedzie szczęśliwie!...« Błogi pocałunek w czułém objęciu zatwierdził lube kochanków układy, a umykającemu z pospiechem i żalem towarzyszyły długo żałosne Ursyny słowa: »Do zobaczenia; niech cię Bóg prowadzi!« By czujność dozorcy do rana zniweczyć, i od zawczesnéj pogoni uchronić zbiega, ochyliła się Ursyna płaszczem Maurycego, męzki kapelusz głęboko wcisnęła na głowę, i tak przebrana siadła na posłaniu, z postanowieniem, że gdy zadnieje, wyjawi mężowi istotny stan serca i porzuciwszy go, do rodziców powróci! Bojaźń o bezpieczeństwo młodzieńca, własnego losu niepewność, groźna samotność pośród strasznego więzienia, grobowa śród czarnéj nocy dokoła cisza; wszystkoto brało przemożną trwogą zdraźnioną duszę Ursyny, i znękaną przykrémi dnia onegdajszego wypadkami w najwyższą tkliwość wprawiło. Nadaremnie zwątlenie w sen pokrzepny tuliło powieki — jakaś trwoga nagabywała ją ciągle i mimowolnie wstrząsała znużoną! Nie mogła się uspokoić; z konwulsyjném drzeniem zerwała się i do modlenia uklękła. Łzami zalane oczy w ciemne wlepiła sklepienie i białą dłoń załamując, wzdychała boleśnie; w słowach bowiem wyrazić nie mogła swych uczuć modlitwy, tak była wzruszona, tak ogarniona przestrachem. Co chwila zdało się jéj, że słyszy szczęk broni, wrzawę i brzęki kajdan, że widzi w krwi zbroczoną głowę kochanka, z wywartémi na nią oczyma, jakby jéj w skonaniu jeszcze przewiny karę znaczyły! Lecz niestety, nie byłoto przewidzeniem: przez drzwi szczeliny widzi wyraźnie majaczenie światła, zważa z ostatnich sił natężeniem... słyszy ruch w przedsieniu więzienia, jakiś tupot, jakieś głosy pomieszane; światło się zbliża, idącym głośniéj wtórzy echo — Ursyna truchleje, pobladła: »O Boże! już go pojmano!« zawołała — i padła bez zmysłów! Jak za chwilkę klucz rozwarł zapory więzienia, jak rdzawych zawiasów skrzyp chrapliwy obił się o mury ciemnicy, już tego nie słyszała! Sen głęboki omdlenia otoczył jéj zmysły.

* * *

Jeszcze noc ziemię pomrocznem ościelała cieniem, gdy dwóch właśnie przybyłych jeźdźców weszło do sypialni namiestnika. Jeden z nich byłto goniec wysłany do Neapolu. Zbudzono Ghibertego, tak bowiem nakazał, i oddano mu list wicekróla. Otworzył go z pospiechem, a przeczytawszy ponurém wejrzeniem zmierzył onego drugiego męża, i rzekł mu ozięble: »Dobrze, idź, i wykonaj rozkaz wicekróla. Skoro się stanie, dasz mi znać.« — Obadwaj wysłańcy wicekróla wyszli w milczeniu z komnaty; namiestnik patrzył za odchodzącymi.

Czy żałował, czy dziką radość kołysał w umyśle? nie wiedzieć; nito posąg jaki stał w pośrodku sali nieporuszony; oblicze miał posępne, oczy utopił w podwojach, przez które obcy wyszli. Tak stojąc długo milczał, aż gdy z wieży trzecia uderzyła; na piérwsze dzwonu jęknienie ocknął się z dumania i zdał się bardzo być wruszonym. Postąpił do okna, z trzaskiem rozwarł je i wychylił się na wolne powietrze, jak gdyby w obszérnym pokoju za gorąco, za ciasno mu było! »Panie!« zawołał wchodzący służalec; »kazałeś.....
— »Więc już się stało!« przerwał mu drżącym, urywanym głosem Ghiberti. »Zapal pochodnie,« rzekł po chwili, »i wiedź mię do sklepień podziemnych.« Zarzucił płaszcz na siebie i wyszedł; a za nim ów nieznajomy Neapolitańczyk.

Stanęli na miejscu. Łoże więźnia pokryte było całunem; ze drzeniem spojrzał po niém Ilario, a gdy usłużny oprawca jął mu obojętnie opowiadać, że więźnia w głębokim śnie zeszedł, i że, gdy ciężki oręż w piersiach jego utopił, więzień jedno tylko wydobył westchnienie, i skonał w zupełnem milczeniu; natenczas zakrył Ghiberti drżącémi rękoma oblicze i odwrócił się od kata, by widok jego nie podwajał żalu, a może, by łzy urzędnika nie były złym dla służalców czułości przykładem!... Tymczasem kat postąpił bliżéj do łoża i całun odchylił. Krwią zbroczone ciało stawiło widok zgrozy i szkarady! Ghiberti chciał raz jeszcze ujrzéć oblicze wybawcy... przyjaciela — może, myślał on, w rysach twarzy dostrzeże wyrazu przebaczenia dla siebie! Przystąpił; pochodnie owidniły trupa..... i krzyk przeraźliwy jęknął o mury więzienia!

»O zwodnicze widmo piekła! to żona moja!« zawołał Ghiberti; rzucił się ze łzami na skrzepłe Ursyny ciało, przyciskał je do łona, a spojrzawszy na błogi, anielski uśmiech, który w skonaniu zastygł na jéj ustach; to znowu na rozwartą w piersiach ranę, z któréj się krew jeszcze sączyła; żywo rażony tym strasznym widokiem, z dziką roz-

pacza targał włos zsiwiały! »Przez Boga! jakażto okropna zamiana! Jestżeto czarów lub piekieł sprawa!« W tém wbiega wybladły, drżący starzec, dozorca więzienia, i padłszy do nóg namiestnika wyznaje śród łkania i trwogi, że jego córka, gdy snem był ujęty, na rozkaz Ursyny wykradła klucze więzienia, i... — »Dosyć!« rzecze Ghiberti obojętnie; lecz w licu jego byłbyś dostrzegł snadnie dziką rozpacz, która się po chwili w te słowa wylała: »Ursyno! Różo Salernu, nie dla mnieś przeznaczoną była! wichr cię zawcześnie złamał! już wdzięk uroku twego pobladł na zawsze!«

K. L.

WYJMKI Z PODRÓŻY PO GALICYI w r. 1831.

(Ciąg dalszy.)

We wsi **Zbyszyce**, milę od Rożnowa odległéj, zaczynają się już okolice, zamieszkane przez tak zwanych Mazurów podkarpackich. Aż do téj wioski prawie strojem świątecznym mężczyzn jest biała płócienna kapota i kapelusz słomiany; kobiéty zaś ubiérają się w białe spodnice, mają przewieszone białe prześcieradło, a na czole zwitek biały płócienny, czółkiem zwany. Strój zaś Mazura podkarpackiego stanowi sukmana, albo też kurtka z sukna granatowego, z licznémi wypustkami i wyłogami czerwonémi; na głowie zwykle noszą czapkę z czarnych baranków, lub też kapelusz czarny z czerwoną wstążką, i szychową kitką. Kobiéty zaś, mianowicie mężatki, stroją się w bekieszki z sukna zielonego, oblamowane galonami złocistémi, a podbite barankami siwémi, na głowie mają złoty czepiec, zwykle złotogłową zwany.

Byłto właśnie dzień 23. czerwca, t. j: wilija Śgo Jana Chrzciciela; chcąc się przypatrzyć obrzędom palenia **sobótki**, pozostałem przez wieczór w téj wiosce. Przez dzień cały zbiérały kobiéty zioła rozmaite do łeczenia niemocy, tak ludzkich, jakoteż bydlęcych, które w dniu tym narwane, osobliwszą mają moc posiadać. Z ziół najwięcej zbiérano: macierzankę *(artemisia vulg.)*, bylicę, łopian *(arccium lapa)* i dziewannę.*) W wieczór zamykali wprzód dobrze obory, albowiem złe czarownice, odprawiając téj nocy na ożogach i miotłach aż do Babiéjgóry (obw. Wadowickiego) swą jazdę, zwykły do téjże także bydląt domowych, a czasem i ludzi samych używać. Dla tegoto opasają się wszyscy zwykle wtedy wieńcami z bylicy. Gdy już mroki nocne dobrze na górach osiadły, i gdy migające gwiazdy zajaśniały, wyszli włościanie na przyległy pagórek: tu zapalili dość spory stos, z drzewa suchego nałożony. Starsi usiedli na stronie, opodal ognia, zabrzmiała muzyka ze skrzypców, basów i smętnej piszczałki się składająca, a młódź doroslejsza, płci obojéj, zanóciła piosnkę następującą:

Ku Dunajowi, ku głębokiemu,
Ku gaikowi, ku zielonemu:
I zapalili **sobotkę**,
I piją piwo, i piją wódkę.
 Chodzi, brodzi nadobna Kasieńka:
 »Oj poczekaj! poczekaj Kasienko!
 »Mam gadeczkę, zgadniéjże mi ją.«
»Cóżby ja była za grzeczna panna,
»Żebym gadeczki zgadnąć nie mogła?«
 »Oj! cóż rośnie bez korzenia?«
»Kamień rośnie bez korzenia.«
 »Oj! cóż kwitnie bez kwiateczka?«
»Paproć kwitnie bez kwiateczka.«
 »Oj! cóż gore bez płomienia?«
»Cnota gore bez płomienia.«

Starsi bawili się pogadanką, a młodsi skakali przez ogień, z którego skakania sobie losy przyszłe wróżyli. Najczarowniéjszy widok przedstawił się teraz oczom moim: Na około po wzgórzach tlały jasne ogniska, których lekkie dymu kłęby ścieliły się po dolinach. Odgłos pieśni i brzmienie muzyki z dala przychodzącéj, obijał się o uszy moje; uroczystości téj wtórzył szumiący Dunajec. Napojony tyloma rozkoszami, który mi wieczór ten sprawił, zakończywszy już około północy święto **sobótki**,**) udałem się na spoczynek.

Nazajutrz idąc brzegami Dunajca, przewodniczącego mi w podróży, zaszedłem do wsi **Chełmiec**, u stóp miasta obwodowego Nowego-Sądcza leżącéj, wodą jednak od tegoż oddzielonéj. Zdobi ją kościołek drewniany, wystawiony r. 1611 przez pewną zakonnicę z Starego-Sącza, jakto napis na belce w środku kościoła głosi; na cmentarzu grób murowany rodziny Wittików, mieści w sobie zwłoki dwóch skromnych w kwiecie młodości zagasłych dziewic. Na końcu wioski pokazuje lud na stromym pagórku, po pod który Dunajec niegdyś miał płynąć, miejsce potężnego grodu. Droga na około téj góry do zamku prowadząca, porosła dziś już dzikiemi drzewami, a na smutnych szczątkach, w których jaszczurki i inny gad obrał swe mieszkanie, pną się bluszcze i różne zielska dzikie. Podziemna droga miała z niego po pod rzékę aż do miasta prowadzić. Wieśniacy tamtéjsi wspominają dotąd o srogich oblężeniach zamku tego i pokazują na nizinie miejsce, gdzie rycérz z tego zamku po odebraném zwycięztwie przy odgłosie surm chrapliwych i kotłów znakomite od króla odbiérał nagrody.***)

Przebrzmiały już stare czasy, w gruzy runęły siedliska sławnych rodzin, których imion dziś tylko w zbutwiałych księgach szukać trzeba. Na mogile dawnéj wyrasta aczkolwiek mdlejsze, jednak bujniejsze plemie. Wieki nasze pierwsze chociaż mniej świetne okazałością powierzchowną, więcéj jednak rycérskiemi celowały dziełami. Gdy rycérze francuzcy i giermańscy, słuchając pieni minstrelów i hołdując płci pięknéj po dworach miłości *(cours d'amours)* służyli; Polakowi zbroja była kolébką, a rozprawa z wrogiem zabawą.

O szczęśliwi Polacy co tak polowali!
Gdy imieniem swém straszni narodom bywali,
Gdy nie tylko Europa i Azyjskie kraje
Przyjmowały sławiańskie z łekka obyczaje,
Lecz biły ich namioty po lodowe morze,
Zkąd już zachodnie mdlały w cichym strachu zorze;
Już dział był trojga morza po brzeg adryjański,
Tak swoje męztwo wywiódł cny naród sławiański.****)

Wieś Chełmiec odległych sięga czasów, już r. 1280 należy do owych miejsc, które król Leszek Czarny klasztorowi zakonnic w Starym-Sądczu zapisał, z resztą sama nazwa **Chełm** *(cholm)* w dawnéj sławiańskiéj mowie górę znaczącą, to potwierdza. (Ciąg dal. nastąpi.)

---

*) Ziele **dziewanna**, używane po dziś dzień od kobiét wiejskich przy połogach, poświęcone było może bóstwu życia **Dziewannie**, i ztądto zdaje się, że nazwę swą otrzymało.

) **Sobótka, byłato uroczystość bóstwu życia (Dziewanna, Żywie, Sywie), które pod symbolem słońca (dobroczynnego światła) czczono, poświęcano. Ślady jéj nie tylko u wszystkich Sławian, ale także u wielu innych narodów i po dziś dzień spostrzegać się dają.

***) Czylito nie był ów Bernat Wierzbięta, syn wojewody krakowskiego, którego Kazimierz W. w liście swym z r. 1341 »*Miles noster ac regno bene meritus*« zowie, i którému za zaszczycające czyny wojenne nadał obszérne pola koło Sącza leżące.

****) Marcina Paszkowskiego: »Wizerunek wiecznéj sławy Sauromatów Starych;« Kraków, 1613.

— Ze Lwowa. —

W litografii Piotra Pillera wyszło temi dniami następujace dzieło muzyczne: *Valses avec Introduction et Coda, composées et dediées à Mlle. la Comtesse Ernestine Tarnowska par Samuel Kossowski.*

P. Ludwik Paris wydał teraz w Paryżu: »Latopisiec ruski Nestora« w przekładzie fraucuzkim, podług najnowszego petersburskiego wydania, z dodaniem wielu ważnych artykułów, tyczących się dawnych związków Rusi z Francyją; tytuł dzieła jest: *La chronique de Nestor, traduite en français* i t. d. 2 tomy.

Na posiedzeniu paryzkiéj akademii umiejętności d. 26. października r. b. udzielił astronom Arago nowych spostrzeżeń nad kometą Halleya, podług których powierzchowność komety zupełnie się zmieniła. Obwód jego jądra powiększył się w dwójnasób, a światło jego wydawało się jakby rozpłynięte, czyli jakoby przez spocone szkła widziane. Także nowe świetlne punkta na samymże komecie znowu dostrzeżono, tak, iż pytanie: »czyli kometa ma wirowy obrót,« nie może być jeszcze uważane jako rozwiązane. — Dotąd nie dowiedziono ściśle, czyli komety mają swe własne światło, czyli też tylko słonecznem są oświecone. Jeżli się promień światła przepuści przez pryzma (graniastosłup podłużny, do optycznych doświadczeń zwykle trójkątny) i spolaryzuje go, da on dwa obrazy kolorowe jednéjże mocy, ale w tym tylko razie, gdy promień światła pochodzi wprost od ciała przez się świecącego, w przeciwnym bowiem przypadku, t. j: gdy promień pochodzi od ciała oświeconego, obrazy kolorowe będą nierównéj mocy. Tego sposobu używano dotąd do wykrycia czyli kometa własném świeci światłem; — lecz gdy w natężeniu światła obydwóch obrazów bardzo małą często znajdowano różnicę, nie można było nic z pewnością wnioskować. Pan Arago zaś potrafił tak urządzić, iż spolaryzowany promień światła wedle tego jak pochodzi od ciała przez się świecącego lub oświeconego, dawać musi przez pryzma obraz w piérwszym razie czerwony, w drugim zaś zielony. Za pomocą tegoto urządzenia roztrzygnął ten astronom w sposób zupełnie zadawalniający, że światło komety nie jest jego własném, lecz od słońca odbitém.

Dz. *Nouvelliste de la Meuse* ogłasza następującą wiadomość: »Pewna dama z departamentu Ardennów, nazwiskiem Destables, ofiaruje 1500 frank. nagrody temu, ktoby jéj powrócił małżonka, zgubionego od 14. maja 1833 r. Oto opisanie jego: Lat 49; wzrost stóp 4 cali 2; płeć brunatna; oczy czarne; głowa łysa; nos miedziany; broda czarna; usta średnie; twarz blada; na lewym policzku blizna w kształcie litery V; głuchy.«— Niechże kto utrzymywać się odważy, że wierność małżeńska znikła na świecie! 1500 frank. za głuchego, pięćdziesięcio-letniego małżonka, z nosem miedzianym! Dla podobnéj karykatury musi to być słodkie uczucie, być tak mocno kochanym.

Vere Monro, Anglik, który teraz wydał opis podróży swojéj po Syryi, opowiada o pewnym człowieku, którego poznał w Kairze, i który mieszaniną wszystkich znajomych języków mówił. Był on rodem Polak; w latach młodych oddano go w opiekę wujowi stanu duchownego w Filadelfii, zkąd po nie długim czasie uciekł, ponieważ ciotka jego rozbiła mu głowę garnuszkiem od śmietanki; wuj dokładał wszystkich starań, aby go zatrzymać, lecz Godlewski (tak się nazywał) wsiadł na okręt francuzki i płynął do Europy. Na drodze okręt wzięty był przez Holendrów, Godlewski 10 miesięcy zostawał w niewoli, poczém dostał się do Anglii, osiadł w Manszestrze i ożenił się z córką bogatego kupca. Miał już swój powóz i konie, lecz szczęście nie długo mu służyło. Żona mu umarła, majątek został stracony. Godlewski zwiedził wszystkie większe miasta Anglii, w końcu osiadł w Edymburgu, gdzie najulubieńszą jego potrawą były: placki owsiane i polewka z mleka. Potém jeździł do Rossyi, lecz tam nie długo bawiąc wrócił do Francyi, gdzie w Lugdunie był mydlarzem, traktyjernikiem i kaznodzieją. Tu jego przychody pomnożyły się tak, że parę tysięcy franków umieścił na banku w Lugdunie; ten zakład gdy zbankrutował, Godlewski znowu wpadł w ubóstwo, i był zmuszony emigrować. Jeszcze szczęścia swego doświadczał w Turcyi europejskiéj, i w końcu dopiero przybył do Kairu, gdzie po dziś dzień prowadzi mały handel perfumami. Niczego on nie pragnie teraz, jak aby do Szkocyi powrócił, i jeszcze raz przed śmiercią zakosztował owsianego placka i polewki mlécznéj.

Paganini nie żyje! Wieść z Genui aż nadto się sprawdziła, lecz i doniesienie Medyjolańskiéj Gazety również prawdę ogłasza, gdy twierdzi, że muza muzyki nie wdzieje jeszcze żałobę, bo Paganini żyje. Paganini nie żyje — Paganini żyje. Jakże to pogodzić? Na to nie potrzeba być Edypem. Rzecz bardzo prosta. Oto dwóch było Paganinich; jeden, który był lekarzem, umarł w Genui na cholerę, lecz Nicolo Paganini, *Illustrissime*, ten w pełném zdrowiu przejeżdżał przez Nawarrę, aby się udać do Parmy. — Przy téj okoliczności zwracamy uwagę na medal bity ku czci Paganiniego; po jednéj stronie jest popiersie tego sławnego artysty, a po drugiéj unoszący się w górę orzeł, który trzyma w dziobie skrzypce o czwartéj tylko strunie, a w szponach łuk, palmę i wieniec.

Pewien filozof powiedział, iż nawet i morowa zaraza miałaby swoich czcicieli, gdyby mogła rozdawać pensyje, urzędy, ordery. Zdanie to sprawdziło się niedawno w Tulonie; bo kiedy tamże więzniom galerowym oznajmiono, iż z powodu grasującéj cholery dostaną lepsze pożywienie, zawołali oni jednogłośnie: »Niech żyje nasz komisarz! niech żyje cholera!«

P. Lindsav w Londynie odkrył sposób utrzymania nieustannego światła elektrycznego. Światło to w piękności przechodzi każde inne; nie wydaje żadnego zapachu i żadnéj pary. Że zaś światło elektryczne do palenia się nie potrzebuje przystępu powietrza, przeto można je trzymać w zamkniętém szklanném naczyniu. Materyja ta sama się zapala; i zdaje się wielkiego być użytku przy składach lnu, warsztatach do przędzenia i innych magazynach, napełnionych palnémi artykułami. Elektryczne światło może najdaléj być przesyłaném, a całe do tego przyrządzenie w zwyczajnéj umieszcza się puszce.

O Hiszpanach tak mówi stare przysłowie: Hiszpan na koniu jest orłem, w górach swoich lwem, a na czystém polu babą. — Przysłowie to w czasach dzisiejszych częstokroć się sprawdziło.

P. Sudre nie dawno w Liwerpolu przed licznem zgromadzeniem popisywał się muzykalnym swoim językiem, którym wszystkich w największe zadziwienie wprawił. Jakoż wezwał on kilka osób obecnych, aby napisały jakie myśli to w angielskim, to we francuzkim języku, które on grał na skrzypcach; zaledwie skończył, gdy wszedł jego pomocnik, który w drugim pokoju toż samo napisał na tablicy, porównano obiedwie tablice i zgodność była nawiększa. Domniemywanie, jakoby Sudre do każdéj litery miał ton osobny, jest bezzasadném, albowiem daleko mniéj tonów wydał, niż tam się liter znajdowało. P. Sudre ukrywa tajemnicę tego wynalazku.

Najdłuższa kolej żelazna w świecie znajduje się teraz w południowéj Karolinie, idzie ona z Charlestown do Hamburga nad rzeką Sawannah, i ma 135 1/4 mil angiel. długości.

Pewien zniszczony na majątku spekulant bankowy rzucił się w zawód autorski. Ktoś dowcipnie o nim powiedział: »Piérwéj papiér go zniszczył, a teraz on niszczy papiér.«

Redaktor: Jan Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.